ROK 1. WARSZAWA.

N^ER 3. Dnia 8/20 Stycznia 1866 r.



ZORZA

PISMO NIEDZIELNE

DLA LUDU MIEJSKIEGO I WIEJSKIEGO.

W WARSZAWIE:	NA PROWINCYI W KRÓLESTWIE:	W CESARSTWIE:
Rocznie . . rs. 1 k. 80 (Złp. 12).	Rocznie . . rs. 2 k. 44 (Złp. 16 g. 8).	Rocznie (z kopertą) rs. 4 k, 44 (Złp. 29 g. 18).
Półrocznie „ — „ 90 (Złp. 6)	Półrocznie „ 1 „ 22 (Złp. 8 „ 4).	Rocznie (bez koperty) rs. 2 k. 44 (Złp. 16 g 8).
Kwartalnie „ — „ 45 (Złp 3).	Kwartalnie „ — „ 61 (Złp. 4 „ 2).	Półrocznie, połowa tegoż.

SŁÓWKO O PRACY.

„W pocie oblicza twego będziesz pożywał chleba", rzekł Bóg do Adama, wskazując mu pracę jako przykazanie i jako środek do utrzymania życia swojego. Sam ten głos Boży jużby wystarczył dla człowieka, aby unikał próżnowania jako rzeczy przeciwnéj woli Najwyższego. Gdy zaś spojrzymy na świat i na ludzi dokoła siebie, to przekonywamy się dowodnie, że praca staje się potrzebą, koniecznością każdego człowieka. Widzimy bowiem własnemi oczyma, że kto się pracy wytrwale trzyma, ten się zabezpiecza od wielu nieszczęść, jakie się przez czas nagromadzić mogą, a w każdym razie chroni go od biedy, od wielu przykrości, i zdrowie jego w dobrym utrzymuje stanie. A zatém praca jest i potrzebą każdego człowieka.

Aby jednak praca była skuteczną, potrzeba, aby była szczerą i rozumną. Praca nieszczera, aby zbyć, jest tylko utrapieniem. Wydaje się ona pracującemu mniéj więcéj tak, jak *np.* koniowi chodzącemu w deptaku, albo bydlęciu zaprzężonemu w jarzmo. Jeden depcze i depcze po kole młyńskiém, drugi ciągnie pług po uprawnéj ziemi, a nie wiedzą same dla czego i poco? Nie rozumieją biedne zwierzęta, że dla czegoś żyją na świecie, że nie bez celu Bóg je stworzył, — nie pojmują tego, że za pracę swoją, mają byt i wygodę,—że wreszcie, gdyby się na nic nie zdały, ludzieby ich odepchnęli, a może i zniszczyli: bo kto nic nie daje innym, a sam od innych ciągle czegoś potrzebuje, ten dla innych jest szkodą i utrapieniem. Wykonywają też robotę swą tylko z musu, pod zagrożeniem bata...

Człowiek tymczasem nie może i nie powinien pracować z musu, z obawy, czy to kary czy biedy jakiéj—lecz szczerze, t. j. z przekonania, pamiętając na to, że każdy żyjący na świecie, potrzebuje coś od świata, za to zaś powinien dawać coś światu, przez swą pracę.

Oprócz tego, nie powinno się pracować bezrozumnie—bo tak pracują zwierzęta. Małpa nauczy się drzewo rąbać i wodę nosić—pies, obracać rożen—koń, poruszać koło deptakowe i t. p. Żadne z nich jednak nie wie, co robi, a tém bardziéj nie wie, jak należy zrobić, aby było lepiéj lub łatwiéj. Ha! prosta rzecz—zwierzęta posiadają tylko instynkt, t. j. zmysł zachowawczy, który ich ciągnie do jedzenia, do picia, jednem słowem do zachowania swego życia. Zmysł ten ani się polepsza, ani pogarsza, tylko jest takim sa-

mym ciągle, jakim był jeszcze na początku stworzenia. Zwierzęta więc ani sobie, ani innym nie potrafią niczego udoskonalić. Człowiek zaś posiada rozum, t. j. władzę, przy pomocy któréj coraz więcéj może się dowiedziéć, co raz więcéj poznać, coraz większą zyskiwać doskonałość, czyli *postępować* naprzód. Ludzie piérwszych czasów nie znali ani widelca, noża lub łyżki; nie znali pieczenia lub gotowania potraw; nie znali odzieży, a tém bardziéj odzieży wygodnéj; nie mieli domostwa porządnego, a przynajmniéj zabezpieczającego od napadu zwierząt, wichru, burzy i innych nieprzyjaciół. Nie łatwo mogli miewać ze sobą stosunki, bo nie mieli telegrafów, poczt, kolei żelaznych, a w początku nawet i wozów lub koni pod wierzch, bo konie, długi czas, były tylko zwierzętami nieułaskawionémi, dzikiémi. Jakież więc było ich życie? Oto, odludne, dzikie, pozbawione wszelkich wygód i wszelkich przyjemności towarzyskich.

A co nam dziś daje wygody, co zabezpiecza potrzeby i ułatwia stosunki towarzyskie, między oddalonémi nawet ludnościami: oto praca, poparta rozumem, ulepszona i pokierowana przez myśl ludzką,—jedném słowem *przemysł*. Przemysłem więc nazywamy to, co pracę ludzką ułatwia, udoskonala i usposabia do wydawania pożyteczniejszych skutków. Gdzie przemysł bardziéj kwitnie, tam ludność żyje swobodniéj i wygodniéj.... Tymczasem, my zostajemy pod tym względem dość w tyle po za innémi ludnościami,—to téż nie wielu z nas cieszy się wygodą, a bardzo mało może bez obawy czekać na jutro. Zapasów na tak zwaną *czarną godzinę* nie wiele potrafimy zrobić, tém bardziéj, że skłonni jesteśmy bardziéj do wydawania, aniżeli do zbierania.

Jedném słowem, potrzeba nam i oszczędności i przemysłu.

Z tego względu *Zorza* uważa za obowiązek, podawania czytelnikom swym przystępnych wiadomości, mających styczność z przemysłem w ogóle — przedewszystkiem zaś podawać zamierza opisy wynalazków, sposoby ulepszenia pracy, jak również objaśnienia tyczące się użycia i budowy narzędzi i przyrządów ułatwiających pracę; takie zaś przyrządy, mają wspólną nazwę *machin*.. *Jerzy Kinn.*

CO TÉŻ SŁYCHAĆ w WARSZAWIE?

OPOWIADANIE RZEMIEŚLNIKA.

Jakto przy naszych Szopkach teraz śpiewają? - Różne wypadki; zkąd one pochodzą?—To i owo.—Trochę o krawcach i innych, a w końcu i o pożytecznéj książeczce.

Już to co mnie najwięcéj mierzi, przy chodzeniu z kolędowémi *szopkami* po Warszawie, to owe mieszanie z religijnémi, nabożnémi pieśniami, nieprzystojnych śpiewek o „jakiejś-tam Małgorzacie, co tańcowała za górami”... Dodajmy do tego inne skoczne śpiewki niesforne, i owo cudaczne przystrajanie się chłopców w jakieś strzępy, świstki, spodnice brudne, łachmany, bez ładu i składu, – przytém głos ochrzypły od gorzałki wrzeszczących wyrostków, a z boleścią serca przychodzi westchnąć na taki obraz! Jakto? i na toż to miałby spaść ów odwieczny nasz zwyczaj religijno-krajowy! Także to się godzi obchodzić ową świętą pamiątkę Zbawiciela całego świata —pamiątkę narodzenia się Dzieciątka-Bożego pod szopą, do którego trzej potężni królowie przyjechali z pokłonem, i które potém ścigane przez króla Heroda, zabójcę tysięcy dziatek, do czasu za morzem, w Egipcie, z Bolesną swą Matką i Świętym Józefem ukrywać się musiało? Czyż to przy wystawieniu figurek w szopce, nie należałoby piękniéj i dokładniéj opowiadać historyę tego Dzieciątka, niż się to teraz dzieje? Czy to brakuje kantyczek, żeby z nich piękne piosenki kolędowe wybrać? I czy w dodatku jakich pieśni pięknych a przystojnych nie napisaliby, poproszeni o to, nasi uczeni, pisarze? Pamiętam, kiedym jeszcze był u rodziców na wsi, w Kaliskiem, to tam organista w mięsopust chodził od dworu do chałup po kolędzie z wielką gwiazdą wyklejoną z papieru, oświeconą w środku i umocowaną na drążku. Gwiazdę tę obracał śpiewając, a pieśni jego ładnym były oddane głosem, i o żadnéj tam „Małgorzatce”, Panie odpuść! nie słyszałem.—A więc, od nas to, bracia rzemieślnicy, zawisło, abyśmy chłopcom naszym nie dali śpiewać nieprzystojnie przy obchodzeniu tak wielkiéj pamiątki, a przytém, żeby szopki swoje odpowiedniéj urządzali,—bo zwyczaj to piękny: godzi go się starannie chować.

Oj! dawniéj, jak słyszałem, i jak czytałem w książkach, nie lekceważono sobie, tak w naszym kraju i pamiątek własnych i religijnych pieśni. — Teraz, co głowa to rozum! i na bok idą nieraz prawdy wiekuiste i święte uczucia, a wiecie często dla czego? oto dla jakiéj bagatelki w stroju, lub dla zgrabnego rozśmieszenia siebie i drugich. To też z obyczajnością naszą raczym idziemy krokiem; a z braku obyczajności idą zgorszenia, występki i nieraz zbrodnie same! Powiadają: że nikt nie jest bez *ale;* ale jakoś tych *ale* na sumieniach naszych dziś tyle się zbiera, co włosów na głowie, co piasku w morzu. Bo oto zacznijmy od najgrubszego.

Nie ma prawie tygodnia, ba! często i dnia nawet, żeby się nie dało słyszeć lub czytać w gazetach o takich rzeczach naprzykład: Tam w kuźni podchmielony robotnik, w kłótni uderzył drugiego w skroń obuchem i śmiertelnie zranił; tu znowu stróż pijany przechodząc ulicą padł na kamienie i niebezpiecznie się w głowę skaleczył; gdzieindziéj, nieostrożny woźnica (pewnie także nietrzeźwy) na śmierć przejechał dziecko; w inném miejscu jakiś urwis podstawił ze swawoli nogę staremu żydowi, że ten upadł na bruk i zrobił sobie dziurę w głowie. A daléj: tam a tam na poddaszu szewc, upijający się często i żyjący w nędzy, powiesił się z rozpaczy; w drugim domu służąca, wartogłów, odebrała sobie życie przez powieszenie się na haku, — i tym podobne, i tym podobne! Jeżeli znowu przechodzić będziesz ulicą wieczorem, przez mniej ludne, boczne ulice, to usłyszysz tak nieprzystojne piosenki wykrzykiwane często i przez podżyłych, ale podpiłych robotników, że aż uszy zatykać! Tak to upadamy nisko w obyczajowości swojskiéj! A jakie są tego przyczyny? Oj! powie się to o nich następnie; tu tylko dodam, że odbiéranie sobie życia, jest to zatracenie swéj duszy, jest to brak religii, zbrodnia i nikczemne tchórzostwo, bo każdy człowiek, to tak jak żołnierz do ostatka mężnym na swojém stanowisku być powinien! Niesumienność też w pełnieniu obowiązków swego rzemiosła i zatrudnienia wkrada się co raz bardziéj w stanie rzemieślniczym i w ogóle roboczym: majstrowie prawie powszechnie narzekają na nieposłuszeństwo, niedbałość czeladzi; gospodynie rady sobie dać nie mogą ze służącémi, z których wiele zapomina, że są służącémi, a ztąd nieposłuszeństwo, pięcie się nad stan, swawola, obraza Pana Boga, a za to w kuchni i w gospodarstwie źle idzie... Z tego wszystkiego wynika to: ża na wierzchu jesteśmy coraz strojniejsi, a wewnątrz, na duszy, coraz więcéj mamy łachmanów, — że mnożą się magazyny strojów, sklepy ze złotémi i srebrnémi wyrobami i bagatelkami, w końcu stroją się stare szynki wódek i powstają nowe, a za to mamy mięso, chléb, suknie, bóty, sprzęty domowe i mieszkania coraz droższe i droższe: bo choć pieniądz sam z siebie już bardzo podupadł w znaczeniu, to jeszcze nieraz ludzie tutejsi przez lekkomyślność rzucając na wszystkie strony rublami, przyczyniają się bardzo swém lekceważeniem do drożyzny.

Ale powiédz jeno niejednemu z naszych współtowarzyszy o książce, lub jakiémś piśmie, żeby je sobie przeczytał lub nabył, to wzruszy ramionami i pójdzie po całych godzinach szturchać kijem w kościane kule na bilardzie. A przecież to, dzięki Bogu! nas, rzemiosła stolarskiego jest w Warszawie 720, krawieckiego jeszcze więcéj bo 770, a szewckiego aż 1250 z górą, że pominę już inne rzemiosła, *np.* mularzy, piekarzy, rzeźników, których jest po 300 i więcéj. — Wprawdzie, są tu wyjątki pomiędzy nami, bo znajdą się i tacy, co pragną kształcić i rozjaśniać swą głowę i nabierać co raz więcéj obyczajności; ale to tak znaczy, jakbyś wpuścił kroplę wody do ogromnéj stągwi. Już to najpiękniéj z wierzchu wyglądają pomiędzy nami krawcy, jak spojrzéć na którego, to istny pan wielki, hrabia lub coś podobnego; tak to wszystko strojnie i modnie poubierane, ci też pewnie najwięcéj pomiędzy nami czytać lubią, i najwięcéj mają nauki, niezawodnie, boć przecie, jak to mówią oddawna ludzie mądrzy: „nie suknia, ale rozum, nauka i cnoty zdobić człowieka najprzod powinny." Bliżéj się nie znam z kolegami tego fachu, to też zdania ostatecznego teraz wypowiedzieć nie mogę.

Będzie to zresztą o tém wszystkiém dużo do powiedzenia; ale zostawmy to na późniéj; dziś tylko, żeby siebie i was, mili Czytelnicy pocieszyć, opiszę wam bardzo dobrą i ładną książeczkę, którą sam przeczytałem rozważnie i dzieciom swoim do odczytywania podałem. Ma ona taki napis na sobie: *Krótki Zbiór Historyi Starego i Nowego Testamentu*, a jest napisana przez pana Franciszka Salezego Dmochowskiego, w r. 1865, kosztująca 20 groszy w Warszawie, a w kraju 24 grosze. Opowiada ona w krótkości to, co zawiera w sobie Pismo Święte, czyli Stary i Nowy Testament, napisana bardzo zro-

zumiale i w miły sposób. Warto taką książeczkę kupić dla dzieci; Dzieje Święte, zrozumiane dobrze, dadzą nam lepiéj zrozumiéć i Dzieje własnego kraju. Mówił mi księgarz, u którego tę książeczkę kupiłem, że napisał ją ów uczony, który od 40-tu lat już pracuje i pisze książki na pożytek braci, a więc i to dowodzi, że nabrał doświadczenia do dobrego napisania téj pożytecznéj i przyjemnéj książeczki, co rozpowiada o Stworzeniu Świata, o Raju, o Potopie, Patryarchach, Królach, wojnach, a potém o Zbawicielu naszym, o Jego męce, nauce, śmierci i o Apostołach.

Na tém kończę, dobrzy Czytelnicy; przyjmijcie szczerze to, co w chwili wolnéj od roboty mojéj napisałem; módlmy się i pracujmy: niech nam Pan Najwyższy dopomaga deptać po ścieżkach mądrości, a unikać ciemności, która do złego wiedzie.

BABIE LATO.

Po skwarach lata, słotach jesieni,
Powiędły smugi, pożółkniał las;
Już ci nie ożyć barwo zieleni,
Ziemio! sił twoich przeżyłaś czas.

Lecz gdzie granica dla siły słońca?
Błyśnie i z nieba nowy tchnie maj.
Maż go się wstydzić ziemia więdnąca,
Maż go nie użyć pożółkły gaj?

O! póki życie tli im choć w rdzeni,
Niech się rozwiną—mniejsza, czy w kwiat!
Dość że w nich słońce i swych promieni,
I ich wdzięczności obaczy ślad.

Człowieku! natęż duszy swéj dzielność,
Byś uczcił godnie dar Bożych łask,
Gdy ci nad grobem, jak nieśmiertelność,
Błyśnie miłości i natchnień blask.

Cóż, że tu światu plon z nich nie wzrośnie,
Nim cię mogiły pochłonie noc?
Gdy tam się w wiecznéj odrodzisz wiośnie,
Duch twój uwielbi miłości moc.

A. E. Odyniec.

PRZEMYSŁAW SKARGA

GONI WIATR PO ŚWIECIE.

Skarga, niestały i niewytrwały rzemieślnik, puściwszy się z Tarnowa w świat za rzekę San podróżował, dopóki miał trochę grosza od ojca; ale w końcu odzież się zniszczyła. Rad nie rad, musiał się wziąść do pracy, przyjął więc robotę; lecz gdy się pokazało że partolił, zaraz na drugi dzień został oddalony. Inny majster jakoś cierpliwszy i litościwszy, począł go sam uczyć; wprawdzie nie mógł mu już płacić tyle co drugiemu, ale nie odmówił mu stosownego do roboty wynagrodzenia. Pracował tu tedy dwa tygodnie chętnie i gorliwie, lecz dłużéj nie mógł wytrzymać w téj gorliwości i zaczął wciąż odbiegać od roboty, raz wraz miał jakiś interes to na podwórzu, to przed bramą; wybiegał nawet za dom i tam stawiał potrzaski z cegieł na wróble, lub ganiał się za myszami i szczurami, albo z czeladzią innych majstrów bajdurzył przez okno. Majster strofował, lecz napróżno.

Rad nie rad musiał nakoniec opuścić pracownię zacnego majstra. W drodze spotkał się z robotnikami, pracującymi przy budowie pocztowego gościńca. Robota grabarska tak mu się spodobała, że się najął: kopał więc i woził ziemię taczkami cały miesiąc. Nadeszły atoli żniwa, i chociaż niegdyś tak się lękał prac rolniczych, zabrał się do zwożenia snopków do stodoły. Następnie po dożynkach, które spodobały mu się nadzwyczajnie, wynajął się jakiemuś kupcowi wołów do dozorowania jego stada, prowadzonego do Krakowa a potém do Wiednia. Ztąd udał się z jakimś innym kupcem do Węgier, gdzie służył u niego całą zimę. Na wiosnę poznajomiwszy się z dymisyonowanym żołnierzem, powracającym do Ojczyzny, udał się z nim do Czech; lecz tu przekonawszy się jak-to tam pracują pilnie i starannie, powrócił do ojca.

Skarga najmniejszego nie miał upodobania w rzemiośle; jął się go jeszcze kilka razy, ale zawsze porzucał je ze wstrętem i chwytał się tego lub owego zatrudnienia. Na wędrówkach strawił nie jeden rok i zawsze wracał do domu z pustą kieszenią. W obcych krajach z łatwością dawał się najmować do wszystkiego, zamiast doskonalić się w jednym jakim zawodzie. W pewnéj wsi zastępował chorego parobka; w inném miejscu jakiś czas służył za stangreta, a w domu u ojca, ile razy był połów ryb, on tam przy tém musiał być piérwszym do wszystkiego.

Nareszcie rodzice znaglili go do osiedlenia się stale w rodzinnéj wiosce i do ożenienia. W tym celu kupili mu domek z ogrodem. Mniemali po-

czciwi ludziska, że teraz statecznie będzie prowadził swe rzemiosło. Został wkrótce majstrem; ale zaledwie wykończył kilka par butów i nie wiele więcéj trzewików, a już zniechęcił się i w końcu porzucił szewstwo. Zresztą obuwie jego wyrobu było zbyt grubéj roboty i nie wszystkim się podobało, tém bardziéj, że je robił coraz niedbaléj. Przestano więc u niego stalować nowe i tylko stare dawano do naprawy.

Zdało się nareszcie Skardze, że w Dąbrowie jest gorzéj aniżeli gdzieindziéj. Przedał tedy swą zagrodę i wyprowadził się z żoną do Nadziejowa. Tu kupił sobie domek, ale już bez ogródka, bo pieniędzy nie starczyło. Tutaj także nie lepiéj się wiodło. Nie długo rozmyślając, postanowił przenieść się do sąsiedniéj prowincyi, kierując się owem uprzedzeniem nieroztropnych ludzi, którym się zdaje, że tam gdzieś wszyscy są szczęśliwi, a u nich tylko źle. Kupił tedy konia i bryczkę za pieniądze wzięte ze sprzedaży domku i ruszył z żoną w drogę za rzekę San. Nie długo jednak przekonał się, że nigdzie *pieczone gołąbki nie lecą do gąbki*,—i powrócił do Dąbrowy. Na swe usprawiedliwienie opowiadał, że tylko z powodu strasznych wilków napastujących ich ciągle po drodze, wrócić się musieli. Wstydząc się zresztą znajomych nasz Przemysław Skarga, osiadł nakoniec w Tarnowie, a że miał jeszcze bryczkę i konia, rozwoził więc w okolicę owoce i ogórki, zboże lub podróżnych. Dopóki konia można było paść na trawie, szło jakoś dosyć dobrze, ale gdy zimą niestało obroku i siana, a na owies nie było pieniędzy, sprzedał szkapę. Z wiosną, na inną szkapinę nie mógł się zdobyć, zbył więc za bezcen i bryczkę, przejadł pieniądze, a następnie żywił się w sposób, jak to już opowiadaliśmy na początku.

Gdym opuszczał Tarnów, żałował Skarga, że nie może udać się ze mną i żyć przy mnie jak dotąd.

Upłynęło nie pamiętam już ile tam lat, jak z Tarnowa przeniosłem się był do miasta Rzeszowa, w sąsiednim powiecie w Galicyi. O Skardze nic nie słyszałem, zapomniałem o nim zupełnie; aż tu pewnego dnia wyszedłszy na przechadzkę za miasto, spotykam człowieka z tobołkiem na plecach i podpierającego się podróżną laską. Siwy zarost okrywał twarz jego zestarzałą. Spojrzał na mnie i stanął; nie mogłem sobie przypomnieć, zkąd mi znane to oblicze.

— Jakto! więc mnie pan już nie poznaje?— odezwał się nareszcie.—Nie,— odpowiedziałem. —Ja jestem Przemysław Skarga, ten sam co to posługiwał panu kiedyś tam w Tarnowie.—Ach! przypominam sobie; witajcie, ale cóż-to się stało z wami?

— Ha! źle się dzieje na świecie; coraz gorzéj z każdym rokiem! Wszystkie rzemiosła upadły, człek wyżyć nie może. W Tarnowie szło mi co dzień gorzéj i gorzéj. Ludzie chcieli, abym im służył i pracował darmo, a do tego lasy wytrzebione bez ptastwa, rzeki bez ryb i raków. Żadne rzemiosło już się nie opłaca. Teraz idę w świat szukać chleba wraz z żoną i dziećmi; ale ich pan nie zna. Syn po nieboszce jest w wojsku. Szukam tedy miejsca, gdzie mnie mogą potrzebować: wszak ja jestem zdolny do wszystkiego—a tymczasem.... żyję z łaski dobroczynnych ludzi, - wyrzekł Skarga ostatnie słowa z uczuciem pewnego wstydu.

W dwa lata potém przyszedł Skarga do mego mieszkania. Miał tylko przy sobie jednego syna. Opowiedział mi, narzekając wielce na złe czasy, że go żona opuściła; że dzieci rozbiegły się po świecie i żywią się jak mogą; że jedna córka jest w Krakowie, a druga aż w Wiedniu, ale o niéj niéma już wiadomości bardzo dawno; żalił się nakoniec na niedostatek sił do pracy i że nie mogąc znaleźć odpowiedniego sposobu do życia, jest bardzo nieszczęśliwy.

Od tego czasu przychodził do mnie co parę miesięcy po wsparcie, jak równie i do innych, tułając się po świecie aż do śmierci. Zmarnował nieborak wszystkie swe wrodzone zdolności bezpożytecznie, dla braku wytrwałości, potrzebnéj każdemu do wydoskonalenia się w jedném powołaniu, czy to w rzemiośle, czy w innym jakim zawodzie. Zakopał w ziemię *talent*, jak mówi Ewangelia. Gdyby się był poświęcił jednemu rzemiosłu i w niém się wydoskonalił, byłby wiódł żywot wprawdzie mozolny, ale dostatni; byłby wychował dzieci w dobrym przykładzie, w pracowitości, ku chwale Boga i na pożytek krajowi, a na starość nie potrzebowałby szukać utrzymania w tułactwie i żebractwie. *Ad. N.*

NASZE KARCZMY.

OBRAZEK.

Brudna izba zastawiona stołem i paru ławami, z oknami maleńkiemi, częstokroć jeszcze po-

zalepianemi papiérem, pozatykanemi deszczułkami, zimą i latem,— w kącie gródka (szynkwas) zastawiona baryłką wódki, zielonemi szklankami, blaszanemi miarkami i kieliszkami: oto zwykły obraz wewnętrznego urządzenia naszych wiejskich, a czasami i miejskich karczem. Zewnątrz gałąź choiny zamiast znaku, resztki słomy i siana przed sienią, zdaleka zapowiadają karczmę najczęściéj, jak powiedzieliśmy brudną, zimną i odartą. Szynkarka odgradzać się musi starannie kratą od swoich gości, taki tam nacisk po lichą wódkę, trącącą niemiłym odorem, po któréj nawet niema czém zakąsić. Przy lada jarmarku okoliczne karczmy i miasteczka pełne wrzawy; jeden nad drugiego krzyczy głośniéj, języki się plączą, w głowie szum i zawrót. Karczmy takie są to studnie, zkąd czerpie się tylko wódka i wódka! Zatarły się starodawne nazwy i wygody naszych gospód i gościńców. Podróżny, zwłaszcza po drogach bocznych, na kilka mil nie znajdzie ciepłego kąta w izbie gościnnéj, a często i garstki słomy na posłanie, siana lub paru garncy owsa dla koni, a w stajni przez dach przezroczysty widać niebo jeżeli pogoda; przed słotą zaś tam się schronić nie można, bo woda z dachu leci jak przez rzeszoto. Takie zajazdy wypisane dużemi literami, trafiają się nawet w miasteczkach: są to domy postawione nie dla wygody, ale dla szynku wódki; o nic innego tam nie dbają, prócz zbierania grosza za jakąbądź cenę. Czasami muzyka i taniec ożywiają zebrania karczemne, ale i wówczas katarynka wiercąca swą korbą jak opętana, zastępuje grajków wioskowych, owych samouczków domowych, co to za bydłem lub za końmi chodząc, wyuczyli się zrazu na kawałku deski i włosianych strunach wygrywać oberki lub krakowiaki, a potém na dobrych skrzypcach i basetli całe wesela ubawić są zdolni. Katarynka więc powtarzająca zawsze jedne i te same kawałki krzykliwym tonem że aż uszy bolą, zaciera powoli piosenki i śpiewki miejscowe tak rzewne i piękne i pełne życia. Milknąć one zaczynają w ustach ludu i gdy się zjawi jaki lirnik, szynkarz go widzi nie mile, bo ludowina wtedy woli już słuchać jak pić. Wiadomo, że nie ma u nas nietylko miasteczka, ale i wioski, gdzieby nie było najmniej jednéj karczmy; nikogo to nie dziwi nawet, że na kilkanaście wiosek, gdzie są karczmy, nie znajdzie i jednéj szkółki; nawet gdzie stanęło już kilka chałup pośród lasu na pustkowiu i nie zdążono jeszcze wybudować karczmy, przecież szynk tymczasem musi być koniecznie w jakiejś izbie. Możem pójść o zakład, że nie znajdziesz kościoła, fabryki, młyna, kuźni nawet, aby ztamtąd nie zoczyć karczmy. Bo wódka w powszechném jest użyciu, rano, w południe i w wieczór, w każdéj chwili można ją wypić i częstować nią; do tego już nawet przyszło, że robotnik uważa ją jako konieczny dodatek do płacy dziennéj. Jest zdaniem utartém, że ona dla ludu naszego jest konieczną i weszło w zwyczaj naganny przy nagradzaniu usługi mówić „masz na wódkę,"— dostaniesz na wódkę."—

I nie ma się co dziwić temu przepadaniu ludu naszego za wódką, gdy tyle wpływów popycha go do tego, gdy przy nędzném pożywieniu, jakiem się karmią ludzie ubożsi, natura człowieka potrzebuje jakiegoś środka podbudzającego do strawienia takiej masy kartofli, kapusty, grochu, często bez okrasy, i czarnego chleba. Ale gdyby za połowę jednak tych wydatków, które pochłania wódka spożywano mięsa, wtedy i siłyby się znalazły do strącenia wódki z dotychczasowéj wszechwładności; przy trzeźwiejszym umyśle znalazłoby się i zdrowie lepsze, i chęć do pracy, na brak któréj wszyscy się skarżą.

Pamiętam, że kiedy radzono w liczném gronie, jakiemi środkami możnaby wpłynąć na polepszenie stanu zdrowia ludności wiejskiéj, — zasłużony i zdolny pewien doktór był tego zdania i popierał go nauką: że najtańszém lekarstwem dla ludu naszego jest mięso. Powszechniejsze, obfitsze jego użycie niż dotąd, wpłynęłoby skuteczniéj może, niż inne rady na zmniejszenie upodobania w pijaństwie i roskoszowania się wódką. Niechaj wódka pozostanie, czém być powinna, lekarstwem, przysmakiem, przyprawą, czemkolwiek bądź, aby nie jednym z pierwszych środków pokrzepiania się biednéj ludności. Piekielny to napój co obałamuca rozum, a pobudza do gniewu, nienawiści i bijatyki, co pokrzepia chwilowo człowieka, aby tém bardziéj go potém osłabić, co przepala krew, a skraca życie.

Karczmy jednakże, albo raczéj wiejskie gospody i gościńce przy traktach, są potrzebne, ale nie w téj liczbie, co dotąd; mnogość ich przestrasza. Wszystko się ulepsza i zdąża za postępem; karczmy więc tak jak są, ostać się nie mogą. Charakterem naszego ludu jest to: że lubi żyć gromadnie; po pracy potrzebuje wytchnienia i zabawy; podróżni téż potrzebują przytułku; a zatém miejsca podobne istniéć muszą. Pozostaną

one jeszcze na długo siedliskiem zabawy liczniejszych zebrań wiejskich, ale niech nie będą miejscem przeklętem pijatyki, zepsucia moralnego i upadku. Są już jednak karczmy, co pamiętając o sobie, nie zapominają o potrzebach miejscowych; i dobrze téż na tém wychodzą i są prawdziwie użyteczne. Oprócz różnego rodzaju wódek, posiadają i niezgorsze piwo,—napój, co posila a nie upaja, miód i nalewki, przytém okrasę, sól, wędliny, zapasy, co się nie łatwo psują, a z rozprzedaży częściowéj, po cenie sprawiedliwéj, znaczny zysk przynoszą. Podróżni znajdują tam zawsze kawałek chleba, masło, jajka, sér, siano, owies, ciepły kącik w zimie. Słowem, karczmy takie są zarazem sklepami żywności piérwszéj potrzeby, i izbami gościnnemi, gospodami lub gościńcami, jak to dawniéj mówiono.

Zysk téż ze sprzedaży tych zapasów żywności, czyli z tak zwanéj suchéj arendy, mają powolny, ale znaczny, a okoliczni mieszkańcy wygodę, a tém lepiéj może im się powodzić, im przystępniéj, im taniéj swoje zapasy sprzedawać będą miejscowéj lub sąsiedniéj ludności. Są jeszcze karczmy, acz w bardzo maleńkiéj liczbie, jak naprzykład istniejąca we wsi Złotnikach w Skalbmierskiém, co wprowadziły dwie nowości: to jest, rozprzedaż herbaty gotowanéj i zaprenumerowały pisma ludowe; małe te ulepszenia napozór, ważny wpływ wywarły na obyczaje uczęszczających, i na znaczenie karczmy. Przestano im tam złorzeczyć, a gościnnych (karczmarzy) zaczęto lepiéj cenić. Przytém drukowane kartki, które nie jedni z mieszkańców zrozumiéć mogą, lud wiejski zabawiały korzystnie.

Życzyćby tylko należało, aby podobnych przytułków więcéj zakładały po wsiach gminy i miasteczka nasze.

I. Chr. W.

O KRÓLU DAWIDZIE

I

KRÓLEWICZU SALOMONIE.

PRZYPOWIEŚĆ LUDOWA.

Razu jednego przyszło dwóch ludzi na sąd przed króla Dawida; i rzekł jeden przed królem Dawidem do drugiego człowieka:

— Pożyczyliście odemnie sześć jaj ugotowanych, temu już minęło sześć lat, a jabym przez ten czas dochował się z nich wielu kurcząt.

I odpowiedział drugi człowiek do piérwszego:

— Prawda, gospodarzu, jestem wam dłużny sześć jaj ugotowanych.

I rzecze król Dawid do tego człowieka, który był dłużnym:

— Zapłacisz mu i za te kurczęta wedle obliczenia za wszystkie lata.

I naliczył król Dawid bardzo wiele. Ale słyszał sąd króla Dawida syn jego, królewicz Salomon, i nauczył tego człowieka mądrości swojéj, i rzekł mu:

— Zoraj niwę blisko drogi, gdzie jeżdżą i siéj groch uwarzony z kotła swojego.

I uczynił ów człowiek tak, jak go nauczył królewicz Salomon: przyszedł i skopał niwę blisko drogi, gdzie jeździł król Dawid, a skopawszy, zaczął siać przed królem groch, ugotowany z kotła na skopanéj roli. I ujrzał król Dawid człowieka tego, jak przy drodze siał z kotła groch ugotowany, i przyzwał go do siebie i zaczął doń mówić:

— Pocóż siejesz groch ugotowany przy drodze, skoro ten nie może wzrosnąć?

Wtedy człowiek ów w odpowiedzi rzekł do króla Dawida:

— Pocóż mnie, królu Dawidzie osądziłeś niesprawiedliwie i dla czego mnie tak drogo skarałeś za ugotowane jaja? Wszak sam, królu, uznajesz to, że groch ugotowany wzrosnąć nie może: a przeto jakże i z jaj ugotowanych może być przychówek, o który zostałem napróżno sądzony?

Zrozumiał król Dawid, że mowa jego słuszna, i rzecze do niego:

—Kto cię téj mądrości nauczył?

I odpowiedział ów człowiek królowi Dawidowi:

—Zaprawdę, królu, mądrości téj nauczył mnie syn twój, królewicz Salomon.

Król Dawid sławił Boga, słysząc o synu swoim Salomonie i mądrości jego. I nie kazał król Dawid człowiekowi temu rospłacać się za przychówek kurcząt latami, a tylko zapłacić za sześć ugotowanych jaj wierzycielowi.

J. Gr.

WAŻNIEJSZE ZDARZENIA
i
RÓŻNE RÓŻNOŚCI.

Nowy Oléj. — Rozum człowieczy oświecony nauką, niemal codziennie wynajduje nowe ulepszenia, zmierzające ku dobru wszystkich ludzi. Jedne ułatwiają pracę rolnikowi i rzemieślnikowi, drugie uprzyjemniają życie nasze, oszczędzają czas i pieniądze, dając wygodniejsze i zdrowsze mieszkania, tańszą odzież i t. d. Najnowszym takim wynalazkiem, o którym piszą zagraniczne dzienniki, jest nowy oléj mający przewyższyć wszystkie dotychczas znane sposoby oświetlenia, nietylko swémi przymiotami, ale i taniością. Wynalazcą tym jest *Gabriel*, fabrykant czekolady i płynów spirytusowych w mieście Pradze, stolicy królestwa Czeskiego. Oléj ten nie wydaje kopcia ani woni, świeci jaśniéj od wszystkich dotąd używanych i knota nie zużywa, a co najważniejsza, może być użyty w najprostszéj lampeczce.

Z czego on zrobiony, jest to tajemnicą jeszcze dla innych, prócz jego wynalazcy, który tylko dla siebie otrzymał na pewien czas *patent przyznania*, czyli przywiléj robienia w swojéj fabryce. Dobrzeby było, aby wyrób jego był tak tani, iżby mógł stać się przystępnym nawet dla najuboższych, i wyrugować łojówki, oślepiające ubogich rzemieślników, a z chaty włościańskiéj kopcące i rażące wzrok swém migotliwém światłem łuczywo.

Wynalazek ten podajemy pod rozwagę naszym przedsiębiercom i fabrykantom.

— **Warszawskie Towarzystwo Dobroczynności**, chcąc przyjść w pomoc ubogim pod opieką jego zostającym, urządza *Loteryę Fantową*, która składać się będzie ze stu tysięcy losów; każdy los kosztuje kop. 15 (złp. 1.); wygrywających będzie 1,000, a wygrać zaś można różne rzeczy, w których jeden będzie wart 1,000, rs. inne 500, 200, 100, 50, 30 rs. i t. d. Lecz dobre serce nie patrzy na wygraną, a tylko kieruje się uczuciem miłosierdzia; dla tego też uważamy sobie za obowiązek donieść tym, których stać na złotówkę o nastręczającéj się sposobności dla otarcia łez cierpiącym braciom.

— **Magdalena Kotowska**, włościanka z pod miasta Łukowa w Podlaskiém, jak się dowiadujemy z pism, przed samém Bożém Narodzeniem wracała przez Warszawę z Ziemi Świętéj z Jerozolimy, gdzie zarabiając na życie ciężką pracą, bawiła przez 7 miesięcy; podróżowała zaś morzem i lądem przy pomocy dobroczynnych ludzi. Przed trzema laty wracała ona z Rzymu, dokąd zawiodła ją gorąca żądza widzenia Ojca Świętego, a teraz widzenia miejsc pamiętnych życiem i męką Zbawiciela naszego.

— **O kołysce mechanicznéj**, która poruszać się ma za pomocą przyrządu zegarowego, o któréj donosi *Kuryer Codzienny*, chcielibyśmy bliższe dać objaśnienie, jako o rzeczy, która pracę rąk bardzo ułatwić może; dla tego też upraszamy, jeśli to jest wiadomem, jaki szczegółowy jest skład tego przyrządu, i gdzie kołyski te wyrabiają bracia Brügmann?

— W poprzednim Numerze daliśmy wiadomość *o nowym maglu;* dziś dowiadujemy się, że jedna z fabryk Warszawskich p. Wiliamowa, przy ulicy Zakroczymskiéj, będzie je wyrabiać po rs. trzydzieści kilka.

ZAGADKA.

Co to jest?

W domu, czy w drodze,
Na jednéj nodze
Zwykle w kolei chodzę;
Jeśli zaś mię kto skaleczy,
Żaden doktor nie uleczy?
Więc zgadujcie,—boć to przecie
Nie oddzisiaj jam na świecie;
Zna mnie starzec, nawet dziecię;
Kto mi ściska często nogę,
Tego w bydlę zmienić mogę?

Znaczenie poprzedniéj zagadki: *Lipa*, która nam daje drzewo na skrzypce, kolebki, czasem na trumny, i która osłania nam Kościoły i domy.

Redaktor i Wydawca, **Józef Grajnert.**

w Drukarni Gazety Polskiéj. — Za pozwoleniem Cenzury Rządowéj.